



W w a l c e z V 1

PARADA



ROK III

W KWIETNIU 1945 R.
APRIL 1945 (2nd ISSUE)

Nr 9 (53)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lire



Plakat na murach Warszawy



Figura Chrystusa przed kościołem Sw. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, ocalała przed zniszczeniem



Sztandar oddziału słowackiego walczącego wspólnie z Armią Krajową



Polski samochód pancerny wyrusza do akcji



Niemcy wzięci do niewoli



Drapacz chmur na Placu Napoleona, który ocalał po Wrześniu, zniszczony w czasie Głównego Powstania



Posterunek przed wejściem do Kwatery Głównej Armii Krajowej



Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli po zdobyciu Centrali Telefonicznej przy ulicy Zielnej



Jeden z wielu cmentarzy ulicznych w Warszawie

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

W KWIETNIU 1945

№ 9 (53)



Śmierć prezydenta Roosevelta jest wielkim ciosem dla narodów sprzymierzonych. Był On wielkim mężem stanu, politykiem i przywódcą swego narodu, a zarazem wyznawcą niezłomnym i szermierzem tych ideałów, które stanowią moralny fundament naszej cywilizacji.

Świeżo mamy w pamięci Jego orędzie z dnia 6 stycznia br. wygłoszone do członków Kongresu. Był to jakby testament polityczny wielkiego prezydenta. Roosevelt w orydyzmu swym uwypuklił ideaowy sens tej wojny, ponieważ wskrzesił Kartę Atlantyczną, przypominając niewzruszalne prawo wszystkich narodów do wolności i suwerenności. Przestrzegając przed cynizmem czasów obecnych.

To On był tym, który nazwał Polskę „natchnieniem świata”. W słowach tych chciał złożyć hołd narodowi, który nie handluje swoimi prawami, lecz o nie walczy, narodowi zawsze wiernemu idei wolności.

Czterokrotnie wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt stanowi epokę w dziejach narodu amerykańskiego. Obok premiera Churchilla jest on pierwszoplanową postacią wojny światowej, którą przeżywamy. Potężna koalicja narodów anglosaskich, której rola w wojnie i w okresie przyszłego pokoju, napawa nas nadzieją, że światem rządzić będzie prawo, a nie siła — w znacznym stopniu jest Jego dziełem.

W czasie kampanii wyborczej w roku 1936 prezydent Roosevelt powiedział w jednej ze swych mów: „współczesne pokolenie spotka się twarzą w twarz z przeznaczeniem”. Miał On głęboką — niekiedy wprost wizjonerską świadomość epoki przemian, jaką zainaugurowała druga wojna światowa. Przygotował Stany Zjednoczone do wojny i do roli, jaką pragnął, by odegrały w przyszłej organizacji świata. Jego koncepcje polityczne znamionowała odwaga i wielka wyobraźnia. Ich cechą ogólną była ludzkość.

Lease-Lend, rozbudowa sił zbrojnych i przemysłu wojennego Stanów Zjednoczonych — Karta Atlantyczna — oto wielkie rozdziały w Jego monografii, która mówić będzie zarówno o rzeczach dokonanych, jak i o tych, do których Roosevelt dążył.

UPADEK NIEMIEC

Zniszczony bombami tor kolejowy w Niemczech



„W szybkości i brutalności tkwi nasza siła. Dżyngis Chan wyrzynał miliony kobiet i dzieci, a uczynił to z pełną świadomością i szczęśliwym sercem. Historia widzi w nim tylko twórcę państwa. Jest mi obojętne, co o mnie powie bezsilna cywilizacja zachodnio-europejska. Wydałem rozkaz — a za jedno choćby słowo krytyki stawić będę przed plutony egzekucyjne — że nasz cel wojenny polega nie na osiągnięciu pewnych linii, a na fizycznym zniszczeniu przeciwnika. Moje oddziały śmierci są już gotowe, chwilo — wo jedynie na wschodzie, z rozkazem tracenia mężczyzn, kobiet i dzieci polskiego pochodzenia i języka. Bez żadnej litości! Tylko w ten sposób zdobędziemy potrzebny nam Lebensraum...”
„Przed wami, panowie, stawa i zaszczytu, jak jeszcze nigdy. Bądźcie twardzi, bez litości! Działajcie szybko i brutalnie, niż inni! Dreszcz trwoży wstrząsnąć musi zachodnią Europę...”
W górach Bawarii, w Obersalzberg przemawiał tak Hitler do elity generałów niemieckich, 22 sierpnia 1939 roku. Tym zaczął wojnę — rozkazem totalnego niszczenia i zapowiedzią kolejnego likwidowania wszystkich partnerów, wrogich czy wówczas jeszcze sprzymierzonych.

NASZA OKŁADKA



Uzdrowieńcy

Fot.: Michalski

W numerze:

W ALZACJI — NAD RENEM — Roman Fajans

ZAKWITEK KROKUSY — Tadeusz Szumański

PORUCZNIK WŁOSKI PISZE KSIĄŻKĘ O LWOWIE — Tadeusz Pntewski

IGRCE POD FRONT WALĄ — Jan Bielatowicz



Ludność Rzeszy tuła się po drogach



Wreszcie i oni zaznali wojny

Liczył na siłę Niemiec, od lat bez wytechnienia akumulowaną w dziecińcach i szkołach, w domach i fabrykach, liczył również na terror. Uderzył w dzwon trwogi. „Es zittern die morschen Knochen der Welt — heut vor dem neuem Krieg!...“ śpiewała młodzież niemiecka, wierząca w siebie, a po układzie monachijskim pewna swego, jak jeszcze nigdy przedtem, pewna mocy własnej i demoralizacji cudzej. Tak zaczęli wojnę Niemcy, jak kończą ją dzisiaj?

Dreszcz trwogi wstrząsa obecnie Niemcami. Szybkość i brutalna siła są nie po ich stronie. Przez Rzeszę przechodzi parokrotnie wojennego zniszczenia, jakiego Niemcy jeszcze nigdy nie zaznali, chaosu i załamania wszystkich więzów organizacji społecznej i państwowej. Młot potęgi Sojuszników rozbił największy mit niemiecki: niezwyciężalności armii. Rozbił i jeszcze jedną legendę, w którą do niedawna wierzyli jeszcze wielu przeciwników, legendę demona niemieckiego,

jakoby nadal wszechpotężnego i wręcz cudownego. Niedocena siły Niemiec przed wojną była przesadą, jej obecne przecenienie okazało się również niewłaściwe. Przekraczając łatwo Ren, armie anglo-amerykańskie zadały cios ostatni i decydujący. Rozpoczął się początek końca Trzeciej Rzeszy.

Kłęska, widoczna od udanej inwazji Normandii, pogłębia się i powiększa z każdym dniem błyskawicznej inwazji terytorium Niemiec, z każdym domem rozwalonym, z każdą nową setką poległych dzieci, którym tylko fanatyzm każe walczyć, z narastającą ciagle masą uchodźców niemieckich, pędzonych rozkazem i strachem ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód. Niemcy zbierają dzisiaj burzę z wiatru, który posiali. Zniszczone, ich własne żniwo, upadek i pewny niemal podział kraju. To samo, co przyniosili ze sobą do krajów napadniętych i okupowanych przez siebie, a co dzisiaj

↓ Młodzież niemiecka przypatruje się wkraczającym wojskom sojusznicznym



NACZELNY WÓDZ W DRUGIM KORPUSIE

Trzy zdjęcia z ostatniego pobytu Naczelnego Wodza Gen. Dym. Wł. Andersa w oddziałach 2 Korpusu, w tej jego — jak rozumieją to wraz z nim żołnierze — „rodzinie”



każe nam bezlitośnie oceniać żniwo niemieckie jako — wspaniałe. Wspaniałe dla nas.

Rozkład Niemiec, likwidacja ich jako wiecznie czynnego źródła wojen, zabórów i przetargów europejskich, musi być dokonana od wewnątrz i zewnątrz. Dzisiaj realizuje się równocześnie, częściowo samobójczymi rękami samych Niemców, składających raz jeszcze dowód niedojrzałości politycznej. Kończy się wojenna, rozpocznie się pokojowa likwidacja dotychczasowej pozycji niemieckiej. Wzięliśmy wybitny udział w pierwszej, wzięć powinniśmy i w drugiej akcji. Zwycięstwo wojenne nad Niemcami jest również naszym polskim zwycięstwem! Bombardowana i palona we wrześniu 1939 roku, cieniem przez pięć lat, zniszczona w sierpniu i wrześniu 1944 Warszawa jest największym, choć najstraszniejszym jego pomnikiem.

Piszemy o zwycięstwie, bo klęska Niemiec jest już rzeczywistością, wypisywaną krwawymi znakami na ciele powalonego wroga. Bo i my czerpiemy z niej codziennie nowe siły, strumieniem nastającym spływające do szeregów wojska polskiego, z uwalnianych obozów jeńców, z miejsc niewolniczej pracy, spod obcego znaku, siłą niewołęcogo. Dopiero ta, przecież i nasza, rzeczywistość klęski Niemiec daje podstawę wyjściową dla pomyślniejszego ukształtowania powojennej Europy.

Problem niemiecki nie jest łatwy. Tym bardziej, że rozwiązywanie go dotyczy kraju, najbardziej centralnie w Europie położonego i narodu, który będąc europejskim, nie jest, nie umie być świadomą częścią tego kontynentu. Zadanie pokojowej likwidacji niebezpieczeństwa niemieckiego wydaje się znacznie trudniejsze od wygranej już wojny. Jest mniej mechaniczne, a bardziej organiczne, związane najściślej ze strukturą społeczeństwa niemieckiego, w którym wszyscy bez wyjątku należeli do jednej organizacji państwowej, — w którym fanatyzm hitlerowski doszedł do władzy nie w drodze rewolucji, a ewolucji, świadomie i dobrowolnie.

Jest kilka cyfr, które powinny być znane wszystkim żołnierzom sojusznicznym w Niemczech, i wszystkim, od których zależy jakkolwiek praca, jakkolwiek współdziałanie z ludnością niemiecką, czy oddziaływanie na Niemców. Pierwsza, to liczba miejsc, uzyskanych przez partię hitlerowską w izbach ustawodawczych

(Landtage) siedemnastu krajów Rzeszy, w wyborach wolnych i demokratycznych 1932 roku: 486 posłów wobec 415 socjaldemokratycznych i 168 komunistycznych. Jeszcze wyraźniej wyglądała ewolucja w parlamencie Rzeszy. W lipcu 1932 roku hitlerowcy zdobyli 230 mandatów, socjaldemokraci — 133, w marcu 1933, stosunek ten przedstawiał się już, jak: 288 : 120. Dwanaście dalszych lat zniósł całkowicie wszelkie zestawienia porównawcze, zamieniając je na jedną absolutną cyfrę i wartość: jednej opinii, jednej miary, jednego fanatyzmu.

Nie można pomijać tego dzisiaj, kiedy na terenach okupowanej Rzeszy trzeba korzystać z takiego, czy innego współdziałania Niemców, kiedy największa na-

wet nienawiść i uczucie odwetu i sprawiedliwości nie mogą odizolować całkowicie Niemiec od reszty Europy, kiedy trzeba będzie rozpocząć wychowywanie i tworzenie jakiegoś nowego społeczeństwa niemieckiego. Fotografie, przedstawiające ludność niemiecką w obozach przed amerykańską kuchnią żołnierską, czy obudny uśmiech młodzieży, która jeszcze przed kilku dniami nosiła mundur [H], czy BDM, stanowią jaskrawą ilustrację trudności, przed jakimi stawia nas problem niemiecki, widziany i rozwiązywany od wewnątrz. Zewnętrznie punkt ciężkości tkwi nie tyle w przygotowywaniu już chaosu i partyzantce, zbrojnej i „ideologicznej”, ile w zdolności i umiejętności zwycięzców istotnego

wzmocnienia sąsiadujących z Niemcami państw.

Kończy się wojna z Niemcami, wojna zorganizowana. Rozpoczyna się trudna rozgrywka pokojowa, w której Niemcy będą zorganizowanym kontrpartnerem, działającym na własnym terenie, i w której od nich również wyjdą, stare w nowej formie, próby ratunku: będzie to gra podwójna, na chaos i rewolucję z jednej, na zachodnią cywilizację i ewolucję z drugiej strony. Jednak szanse tej nowej wojny drugiego odwetu, są bardzo małe. Przebieg wojny ustalił na dziesięć lat upadek Niemiec, wyniszczonych materialnie i biologicznie. I to jest największy i równie ważny dla wszystkich wynik sześciu lat wojny. T. 5.

Tysiące jeńców napływają codziennie





Zapetrzony w szczyty

W górach zima jeszcze się nie skończyła

Tadeusz Szumański

Zakwitły krokusy...

Szusz na wiosennej łączce



Wypoczynek przed zjazdem



Spod śniegu wychylają się lilowe płatki krokusów, jak na Chochołowskiej...



Słońce szybko zmienia białą twarz „copera” na ciemny brąz

Jak co roku, jak zawsze, spod topniejącego śniegu — przynaglonego w noc mrozem — wychylają swe ostre lilowe czubki. Lilowateją nimi doliny, a przechodzący narciarze nie miną ich, nie oddarząc uśmiechem.

Wiosna w górach... gdzie zima najdłużej się broni, cofając się coraz wyżej, niechętnie ustępując palącemu słońcu, by czasem niespodzianie nocą spryszczyć wszystko dokota świeżym śniegiem, ku radości narciarzy.

Hej... czy pamiętasz jeszcze wiosnę w Tatrach?

Czy pamiętasz Kasprowy, Żółtą, Świnię, Gładką, Cichą i tyle innych szczytów, przetęczy, dolin i żlebów. Wszystko lśniło oslepiającym śniegiem, poprzeryzanym śladami nart. Słońce z granatowego błękitu prażyło pedząc mgiełki z nad stawów i dolin. Od czasu do czasu przetaczał się głucho huk — to, którymś ze żlebów zsunęło się mrowie wesołych narciarzy. Regle, zbocza, doliny i narciostudy rozbrzmiewały okrzykami, śpiewem i śmiechem. W Kuźnicach barwny tłum czekał na swą kolejkę w kolejce. Na Kasprowym tłumnie opalały się cepy, by brązową skórą upodobnić się do starych zakopiańskich wygów. Lecz tych wotele tam nie było; wyposzczeni gwarem ciągnęli do Pięciu Stawów, lub Rostoki, by w ciszy szukać skrawków nietkniętego śniegu, na którym można by położyć swój własny ślad.

Tak było... i tak zapewne będzie.

Dziś tylko małe grono polskich żołnierzy mogło skorzystać z zaproszenia Anglików do narciarskiego Rest-Campu w Sarnano, na marcowy śnieg w Apeninach.

Na pewno nie żałują.

Znikły gdzieś koszmarnie ubiegłe lata, zapomnieli, że są w obcych górach, mieli znów przed sobą... Tatry. Taka sama rzeźba gór, takie same hale z pasącymi się owcami, te same strumyki, ten śnieg i słońce, a wreszcie — krokusy. Brak tylko regli i tej beztrudnej radości, cośmy ją gdzieś w swej wędrowce zgubili.

Brak tych, z którymi ją dzielili.

Krótki, lecz niezapomniany to był urlop dla tych, co kiedyś cały rok czekali na tatrzańską wiosnę. Nie sposób przy tym nie wspomnieć o bajecznej organizacji i gościnności gospodarzy — Anglików.

Gdy zwykły, szary strzelec, wyekwilpowany od desek z kandaharami do okularów słonecznych, wracał pod wieczór zmęczony, lecz szczęśliwy, zastawał swój pokój pięknie posprzątanym, buty wyczyszczone, spodnie wyprasowane, skarpetki wyprane, a obok gotową gorącą wannę. Zrozumiał — że ma urlop. Że przez tych kilka dni on jest pan — że nie będzie się martwić czy dostanie jeść, gdzie i jak będzie spać. Łatwiej mu zrozumieć, że urlop jest nagrodą za pracę, za trud, za walkę i krew.

Lecz może to nie ważne — może nawet nie jest ważne, że się kończy pierwszy tom wojny. Najważniejsze może jest to, że w Tatrach krokusy znów zakwitły, jak zawsze, jak co roku. I będą też kwitnąć, gdy przeminą — okupanci i „oswobodziciele”. — Jak po każdej, najśrodszej nawet zimie.

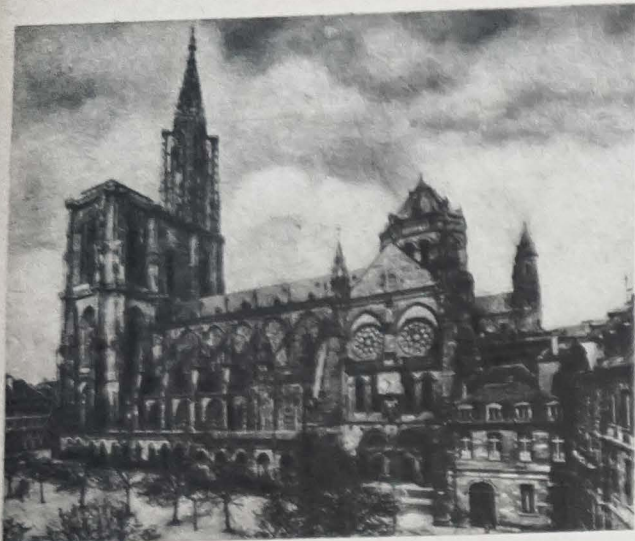
Tadeusz Szumański



Wiosenny śnieg lśni się w słońcu jak naftalina

Zamiast kolejki linowej na szczyt odchodził pospieszny łożysk





Katedra w Strasburgu

W ALZACJI- -NAD RENEM

Korespondencja własna „PARADY” – ROMAN FAJANS

Z niezłą ciekawością wyruszałem w podróż do Alzacji i na front reński. Wiedziałem, że tam właśnie będę mógł najlepiej zerknąć się z francuską rzeczywistością wojenną. Przecież tu właśnie stoczone zostały pierwsze zwycięskie boje odrodzonej armii francuskiej i tutaj organizują się jej nowe jednostki. W drodze pierwszy raz zatrzymaliśmy się w Nancy, gdzie trzeba było przenoćować. To piękne miasto, tak ściśle związane z Polską przez osobę króla Stanisława Leszczyńskiego, mogło nie wiele ucierpieć wskutek działań wojennych. Przekładna katedra gotycka nie utraciła ani jednego witrażu. Na placu Stanisława Leszczyńskiego i będącym jego dziełem, stoi nadal piękny pomnik polskiego króla.

Nazajutrz, przez Epinal, wjeżdżamy w Wołgę. Im bardziej wjeżdżamy się w malownicze góry, tym więcej spotykamy śladów wojny. Miasto Charmes jest prawie zupełnie zburzone. Również Epinal, słynne niegdyś ze swych obrazków kolorowych dla dzieci, bardzo ucierpiało. Wzdłuż zniszczonej szosy, coraz więcej rozbitych czołgów, dział i samochodów. Mijamy często jeńców niemieckich, naprawiających szosy. Niektórym z nich wypisano kredą na plecach literę „P.W.” (Prisoners of War).

Za Bellortem, do którego dobieśliśmy po ciężkiej podróży, wjeżdżamy na niską łąkę. We wsiach, przed domami, piętrzą się kupy nawozu. Wysokość ich wskazuje na bogactwo rodziny, zamieszkującej dom, i na posag córki na wydaniu. Taka tu jest, od wieków, tradycja. Szkody wojenne są tu niewielkie. Miasteczka tchną spokojem i pogodą, jak niegdyś, w dobrych, pokojowych czasach. Idylla ta nie trwa jednak długo. Napotkana francuska bateria ciężkiej artylerii zmotoryzowanej (działa 115-milimetro-we) jest znakiem, że wjechaliśmy na odcinek I armii francuskiej generała de Lattre de Tassigny. Jedziemy wzdłuż betonowego rowu przeciwczołgowego, napelnionego wodą. Należał on do linii Maginota. Liczne blokhauzy, zakamuflowane w lesie, leżą rozbite, niepotrzebne nikomu.

Mijamy Cernay, w połowie zniszczone. Tutaj przełamany został niemiecki front alzacki. Na ścianach domów są jeszcze

napisy niemieckie. Hotel „Zum weissen Roessl” zaprasza nas w swe rozwalone mury, bez dachu. Przed ruinami budynków administracyjnego poniewiera się w błocie złoty orzeł ze swastyką. Wymowny symbol sytuacji „Herrenvolku”.

Jeszcze kilka alzackich miasteczek i znajdujemy się u stóp góry, pokrytej sosnowym lasem. Na szczycie dostrzegamy wielki zielony budynek. Jest to kwatery prasowa I armii francuskiej.

ROZMOWA Z SEKRETARZEM PREZ. ROOSEVELTA

Zielony budynek był luksusowym sanatorium. Mieszkam w nim od wczoraj i mam pozostać tu jeszcze dziesięć dni. Sanatorium to mieści obecnie korespondentów wojennych i „staff” oficerów, niewiasty i niższych funkcjonariuszy Kwatery Prasowej I armii francuskiej. Ślad korespondencji i korespondentki wyjeżdżają na wycieczki na niezbyt odległy front, stąd wysyłają swe depesze i artykuły.

Władcą tego królestwa prasy jest major Barlone, wielki przyjaciel dziennikarzy. Rządzi nim z wielkim taktem. Cenzorów jest trzech: major amerykański, kapitan francuski i porucznik Francuz. Wśród korespondentów wojennych jest najwięcej Francuzów, są Amerykanie, Anglicy, jeden Rosjanin i niżej podpisany. Widujemy się przeważnie tylko przy śniadaniu i wieczorem. Całe dnie spędza się w drodze. Odwiedzamy front, obozy ćwiczebne, oddziały, objeżdżamy Alzację. Zapoznajemy się z nową armią francuską, organizowaną na tej pięknej ziemi alzackiej.

Wczoraj nasza Kwatera Prasowa miała swój wielki dzień. Odwiedził ją p. Stephen Early, osobisty doradca i sekretarz prezydenta Roosevelta, odbywający obecnie podróż informacyjną po froncie zachodnim. Jest on jedną z najbardziej wpływowych osobistości politycznych Stanów Zjednoczonych, co tydzień prowadzi w Waszyngtonie konferencje prasowe Białego Domu i jest na nich rzecz-nikiem prezydenta Roosevelta. Nazywany go w Ameryce „szarą eminencją” dziennikarzy. Cierpliwość jego i wyrozumienie dla przedstawicieli prasy są tam legendarne i prawdziwie angielskie. Jako dziennikarz zawodowy był już w 1919 r.



Do Renu — 200 metrów

Przeminęło...



członkiem redakcji „Stars and Stripes”, później zaś współpracownikiem „Associated Press”, rozumie on doskonale blaski i cienie tego zawodu.

Stephen Early przybył do nas w towarzystwie generała Allen, szefa P.R. SHEAF'u, generała Tupper, szefa P.R. VI grupy armii, pułkownika Warden, szefa cenzury SHEAF'u i innych wyższych oficerów. Średniego wzrostu, dość tęg i krzepki, o siwiejących włosach i młodej, energicznej twarzy, p. Early stanowi ten idealny typ Jankesa, jaki zwykliśmy wyobrażać sobie w Europie.

Wizytę tą rozpoczęło interesujące exposé jednego z wyższych oficerów I armii francuskiej. Oficer ten przedstawił gościom anglosaskim zarys trzech zwycięskich bitew, stoczonych przez I armię na ziemi francuskiej: Tulon, Bellortu i Kolmaru, oraz obecnej sytuacji na alzackim odcinku frontu. Po obiedzie zdołałem się docisnąć do p. Early i zadać mu kilka pytań.

— Czy jest pan po raz pierwszy we Francji?

— O, nie! Biłem się tu już w 1917—18 roku, najprzód jako podporucznik, potem porucznik, wreszcie jako kapitan. Przeżyłem wówczas pieszo połowę Francji. Obecnie jednak — rozemniałem się p. Early — zmieniły się warunki. Przeżyłem właśnie dwa tysiące kilometrów samolotem.

— Cel pobytu pana we Francji?

— Prezydent Roosevelt polecił mi zorientować się, co możnaby uczynić, aby ułatwić pracę korespondentów wojennych oraz przyspieszyć transmisje depesz. Odwiedziłem więc kwatery prasowe różnych odcinków frontu. Byłem w Holandii, w Luksemburgu, w Niemczech. A teraz jestem tutaj.

— Czy to prawda, że ma pan syna na froncie?

— Prawdą jest porucznikiem w moździerzach i walczy na odcinku północnym. Spędziłem z nim parę chwil.

Stephen Early orientuje się doskonale w kulisach stosunków międzynarodowych, korci mnie więc zapytać go o to i owo. Wiem jednak z góry, że odpowiedziałyby mi z tym samym czarującym uśmiechem, z jakim w Białym Domu odpowiada na liczne niedyskretne pytania

dziennikarzy, i nie powiedziałyby nic konkretnego, gdyż nie wolno mu mówić. Poczóż więc pytać?...

ZE SWASTYKĄ I MIOTŁĄ...

Jeśli Alzacja jest klejnotem Francji, Kolmar jest z pewnością najcenniejszą jego perłą. Żadne z pięknych miast w Alzacji — Strasburg, Obernai, Keiserberg — nie dorównuje Kolmarowi. Dzięki swym starym domom, sięgającym XIV wieku i zdumiewająco podobnym do domków tyrolskich lub szwajcarskich, dzięki drzemiącym kanałom „alzackiej Wenecji”, dzięki swej pięknej katedrze Kolmar posiada całkiem swoisty czar i oryginalny styl.

Ponadto Kolmar jest szczególnie drogi sercom wszystkich Francuzów ze względu na wybitnie francuski charakter tego miasta i jego mieszkańców. Mimo bowiem stylu budowy, różniącego się bardzo od stylu innych miast Francji, pomimo niemieckich nazwisk znacznej części jego mieszkańców, Kolmar pozostał zawsze francuski aż do głębi duszy, dziś zaś jest nim jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek. Kolmar był też ostatnim większym miastem Francji, oswobodzonym spod niemieckiego jarzma.

Wjeżdżając do miasta wczesnym rankiem, spotkaliśmy grupę cywilnych mężczyzn, dość przyzwoicie ubranych, z miotłami w rękach. Szli zamiatać ulice. Każdy z nich miał na ramieniu opaskę z czarną swastyką na czerwonym i białym polu. Byli to Niemcy — członkowie partii i kolaboranci alzaccy. Szli do pracy z więzienia, pod eskortą uzbrojonych FFI. Trzeba było widzieć, z jakim uśmiechem triumfu spoglądali na nich mieszkańcy Kolmaru. Całą historię alzackiego męczeństwa można było wyczytać w ich oczach.

NA FRONCIE

Front jest o 18 km od Kolmaru, jest nim Ren. Pojechaliśmy tam przez Neuf-Brisach, dawną fortecę Vauban'a, Neuf-Brisach, odległe o 3 km od Renu, niedawno jeszcze było zasobnym miastem. Dzisiaj trudno doliczyć się tu choćby pięciu całych domów. Wszystko leży w gruzach. Najbliższe okolice miasta przedstawiają równie żałosny widok. Pola, pełne lejów, są usiane żelastwem. Tu i ówdzie wi-



Alzacja w stroju narodowym

Nancy — ratusz i pomnik króla Stanisława Leszczyńskiego



Po nich napisy propagandowe



dzim dział niemieckiej obrony przeciwlotniczej, które zrobione z drzewa i słomy, miały mylić lotników sojuszników. Droga jest niezwykle ciężka, pełna wody i błota, chwila mi trzeba jechać po przerzuconych naprędcach deskach, nawet jechać trudno jest przebrnąć.

Dzień jest szary i deszczowy, lecz mgła rozciągająca się przed nami, nie wygląda naturalnie. Rzeczywiście, jest to ekran sztucznego dymu, ciągnący się wzdłuż rzeki i zasłaniający nasz brzeg przed wrokiem nieprzyjaciela. Bez tej zasłony, położenie francuskich oddziałów stałoby się nader trudne, gdyż za-

Widok ogólny Kolmaru



jęły przez nich teren jest płaski jak ta-
leż, podczas gdy, z drugiej strony rzeki, Niemcy górują całkowicie ze swej
wysoko położonej cytadeli w Vieux-Brisach. Wzdłuż całego wybrzeża urządzili
schrony i ich karabiny maszynowe zięją
ogniem przy każdym ruchu nad samą
rzeką.

Mamy przejść do starego fortu, o 300 m
od Renu. Zainstalowano tam punkt ob-
serwacyjny i pill-boxy. Do fortu jest za-
ledwie dwa kilometry, ale trzeba dobrze
uważać na miny po drodze. Po obu
stronach drogi same gruzy. Spotykamy
jednak cywilów, pieszych lub na rowe-
rach. Pozostali tu bez względu na ryzyko.
Gdzie żyją i z czego, trudno odgadnąć.
Są tu jednak i utrudniają operacje wo-
jenne. Dlaczego ich nie ewakuowano?
Nie ma, jakoby, prawa...

Fort pochodzi z epoki trzeciego cesar-
stwa, ma solidne mury i wnętrza. Do-
wódcą odcinka, kapitan — weteran kam-
panii włoskiej, prowadzi nas do niskiej,
sklepionej sali, z zakratowanymi okien-
kami w grubym murze. Stąd po śniadaniu
wchodzimy na stary mur fortyfikacji.
Znajdujemy się pośrodku ekranu sztucz-
nego dymu. Przed nami jest Ren, szeroki
na 300 m, naprzeciwko zaś, na dru-
gim brzegu, na wzgórzu, Vieux-Brisach
ze swą cytadelą i katedrą, której wieżę
oblupili pociski. Miasto leży na odleg-
łość strzału, wydaje się puste.

Jeśli kto chce mieć pojęcie o zniszcze-
niach wojennych w Alzacji, winien prze-
jechać się po szosie Kolmar—Strasburg.
Odległość nie jest wielka, 67 km, lecz
obrazy są przerażające. Przejedźmy
przez Ostheim, które leży w gruzach,
przez Guemar, zupełnie zniszczone, i
przez tyle, tyle jeszcze podobnych miej-
scowości... Wszędzie, na szczytach mur-
ów, na ścianach rozprutych domów, są
ślady propagandy nazistowskiej. „Wir
kapitulieren nie” (Nie poddamy się nigdy),
„Deutschland wird doch siegen”
(Niemcy jednak zwyciężą), „Elsass bleibt
deutsch” (Alzacja pozostanie niemiecka)—
takie napisy rzucają się w oczy.

Strasburg bardzo ucierpiało. Wspaniała
katedra, jeden z najpiękniejszych zabyt-
ków gotyku kościelnego w Europie, jest
poważnie uszkodzona. Dokoła kilka sta-
rych domów zburzonych zostało przez
bomby, wiele innych doznało ciężkich
uszkodzeń. Szyb nie ma prawie nigdzie,
w mieszkaniach, ani w sklepach.

Atmosfera obecna stolicy Alzacji jest
atmosfera frontu. Strasburg jest bowiem
dziś odcinkiem frontu. O 3 km od cen-
trum miasta płynie Ren. Tam jest most
wiodący do Kehl, a raczej to co z niego
pozostało, i — Niemcy. Wzdłuż wybrze-
ża domy przekształcone zostały w umoc-
nione pozycje. Baterie dział i gniazda
karabinów maszynowych strzegą francus-
kiego brzegu Renu. Mieszkańcy tych
dzielnicy zostali ewakuowani. W Strasbur-
gu często słychać grzmot dział i terkot
karabinów maszynowych. Czasem, jeden
i drugi pocisk padnie na miasto, nie czy-
niąc zresztą wielkiej szkody, ludność

przywykła już do tego. Ruch uliczny,
bardzo ożywiony, nie ulega przerwom ani
na chwilę.

ULICA DZIKUSA

Wszystkie hotele, restauracje, kawiar-
nie i budynki użyteczności publicznej za-
rekwirowano dla wojska. Żywność jest
mała, prąd elektryczny nie zawsze dopi-
suje. Nie wolno wysłać ze Strasburga do
Paryża nawet karty pocztowej. Na ścia-
nach domów, obok starych afiszów hit-
lerowskich, pełno rozporządzeń władz
francuskich, ogłoszonych z reguły w
dwóch językach — po francusku i po
niemiecku. Jedno z takich rozporządzeń
wzywa wszystkich członków SS, SA, par-
tii narodowo-socjalistycznej oraz jej in-
struktorów politycznych do stawienia się
w określonym miejscu i terminie.

W Strasburgu widać jeszcze liczne śla-
dy niedawnej obecności Niemców. Wiek-
szość ulic znacząca jest podwójnymi ta-
bletkami — francuskimi i niemieckimi,
przy czym nazwy nie zawsze są te same.
Skoro już mowa o tych, ciętych tutaj,
zmianach nazw ulic, warto opowiedzieć
historię, jaka wydarzyła się w Milhauze.
Główna ulica tego miasta nosiła od daw-
na nazwę „Ulica dzikusa” (Rue de Sau-
vage). Gdy w r. 1940 przyszli Niemcy,
przemianowali ją natychmiast na „Adolf
Hitler Strasse”. Ponieważ jednak talizki
z francuską nazwą nie zostały od razu
zdjęte, ulicę przez dłuższy czas zdobyły
dwa napisy: u góry „Adolf Hitler Strasse”,
u dołu „Rue du Sauvage”. Dużo było
śmiechu z tego zestawienia.

Dzienniki strasburskie, jak i kolmar-
skie oraz milhauzkie, publikowane są prze-
ważnie po francusku i niemiecku. W tym
samym numerze, te same wiadomości
podawane są na przemian, w tłumacze-
niach. Dzienniki te poświęcają dużo miej-
sca trudnemu zagadnieniu przystosowa-
nia alzackiego życia ekonomicznego do
norm panujących w całej Francji. Za kilka
dni marka niemiecka utraci w Alzacji
swą wartość obiegową. Wszystkie ceny,
zarobki i t.p. muszą być przystosowane
do norm francuskich, co pociągnie za so-
bą poważną zwykłą jednych cen i niższą
innych. Pod względem ekonomicznym
najbliższe tygodnie będą trudne w Alzacji.

Wystarczy porozmawiać trochę z miesz-
kańcami Strasburga, by wyrobić sobie
pojęcie o cierpieniach, jakie Alzacja
przeszła w ciągu ostatnich czterech lat.
Warunki były tutaj nieporównanie cięż-
sze, niż w reszcie Francji. Kraj ten był
nie tylko okupowany, ale i wcielony do
Rzeszy. Stąd bezlitosna eksterminacja ele-
mentów francuskich i wszelkiego co
związane było z Francją. Tysiące zmobiliz-
owano do armii niemieckiej, tysiące
osób deportowano do Rzeszy, lub wtra-
cono do obozów koncentracyjnych. Dla-
tego nie należy się dziwić, że miasta i
miasteczka Alzacji są wciąż jeszcze ustro-
jone w trójbarwny chorągwie i że żyją
w nieprzerwanym świecie. Jest to natu-
ralna reakcja po czterech latach przety-
tego koszmaru, reakcja zrozumiała i
zdrowa.

Strasburg — wejście do katedry



SZKOLNICTWO W ANGLII

Przygodnemu widzowi szkolnictwo brytyjskie wydaje się na pierwszy rzut oka chaotyczne. Również się od systemów nauczania przyjętych na kontynencie, przy bliższym poznaniu okazuje się raczej bardziej skomplikowane, niż chaotyczne. Formowało się ono na przestrzeni wieków, w ścisłej łączności z takimi brytyjskimi cechami narodowymi, jak: wrodzona niechęć do przymusu, zaufanie do inicjatywy prywatnej, praktyczna zdolność racjonalnej doolepszenia instytucji już istniejących, niż do ich likwidowania oraz siła uczuć religijnych.

Właściwie dopiero w wieku XIX szkolnictwo brytyjskie mogło rozwinąć się szeroko w oparciu o subsydia, przyznane szkołom uchwałą parlamentarną, która przyczyniła się do powiększenia ilości szkół, istniejących do tej pory raczej jako fundacje prywatne o charakterze dobroczynnym. Rok 1870 przyniósł ustanowienie „urzędów szkolnych” zakładających szkoły we wszystkich okręgach Anglii, zalecając od miejscowych zapotrzebowań i na koszt mieszkańców. Następnie powstały instytucje o szerszym zakresie działania, obejmującym również gimnazja

i równorzędne im szkoły techniczne, tzw. „miejscowe władze szkolne”. Są to urzędy o charakterze administracyjnym, podlegające bezpośrednio Radzie Księstwa. Naczelny Urząd Oświaty z prezydentem na czele odpowiada naszemu Ministerstwu Oświecenia Publicznego.

Władze szkolne są naogół silnie zdecentralizowane. Zadaniem Urzędu Oświaty jest przede wszystkim ogólna organizacja szkolnictwa oraz ogólne kierownictwo. Urząd Oświaty wpływa pośrednio na kierunek nauczania przez swoje publikacje fachowe i pomimo, że organizacja techniczna szkół leży w rękach miejscowych organów, wpływ tej instytucji na całokształt nauczania jest duży.

W Anglii są trzy rodzaje zakładów naukowych: szkoły powszechne, gimnazja ogólnokształcące i techniczne oraz uniwersytety. Większość stanowią gimnazja państwowe, lecz prócz tego istnieją szkoły klasztorne lub prywatne, utrzymywane w celach filantropijnych.

Do tej ostatniej grupy szkół średnich należą tzw. „Public Schools”. Zarówno one, jak i uniwersytety nie są utrzymywane przez rząd i zależą wyłącznie od



Pani Churchill, małżonka premiera W. Brytanii, gościła ostatnio w obozie Wojska Polskiego w Egipcie. Na zdjęciu: Mrs. Churchill w towarzystwie Generała Brygady J. Włosty



Po wykładach



Biblioteka szkolna



W pracowni



Lekcja gimnastyki



Ochotniczki polskie we Włoszech witały niedawno panią C. B. Luce, członkinię Kongresu St. Zjednoczonych oraz przedstawicielkę wielkich agencji prasowych amerykańskich

swoich własnych, niegdyś nadanych im dóbr ziemskich i od opłat, składanych przez studentów. Wśród nich najbardziej znane zagranicą są Eaton, Harrow (gdzie studiował premier Churchill), Winchester i Rugby. Nazwa „Public Schools”, w dosłownym przekładzie, szkoły publiczne, jest raczej nieporozumieniem, ponieważ tylko zamożniejsi mogą sobie pozwolić na studia, których roczne koszty wahają się od 150 do 250 funtów. Krytyczna opinia określa uczniów tych szkół jako „klasę wybraną” i rzeczywiście istnieje tam wyraźny podział społeczny, a ci, których udziałem było ukończenie takiej szkoły, mają na ogół szanse życiowe większe, niż inni. Zwolennicy szkół publicznych twierdzą natomiast, że kształcą one charaktery i trzeba przyznać, iż wychowankowie ich przedstawiają sobą pewien specjalny typ. Przyczyna tkwi zapewne w głębokiej tradycji, królującej w tych zakładach i wywierającej wpływ na uczniów, którzy stają się typowymi Brytyjczykami.

Public Schools posiadają internaty, w których uczniowie mieszkają po 30-40 w budynku, przy czym wszyscy, z wyjątkiem najmłodszych, mają oddzielne pokoje. Prócz samego budynku szkolnego i internatu, w zakładzie znajduje się kaplica, biblioteka, szkoła muzyczna, a

przede wszystkim stadion sportowy z boiskami do krikietu i football'u, kortami tenisowymi, salami do squash'a, pływnią i pawilonem do gier.

Sport gra wielką rolę w życiu młodzieży szkolnej. Krikiet, football i wioślarstwo są wysoko cenione, a nawet mówi się nieraz, że prawdziwy uczeń poświęca im więcej uwagi i zapału, niż samej nauce. Dobry sportowiec jest cenniejszy zarówno przez kolegów, jak i nauczycieli, a wyniki osiągnięte w dziedzinie ćwiczeń fizycznych wyrównują nieraz nawet niedociągnięcia w nauce. W zasadzie jednak nacisk położony na sport nie przynosi szkody nauce, a niewątpliwie wywiera wpływ na kształtowanie charakterów. Public Schools cieszą się wielkim uznaniem w Anglii, a utworzenie ich było uważane za wielki krok naprzód w dziedzinie oświaty.

Spełniły one dotąd rolę niejako pionierską, ale coraz częściej opinia publiczna uważa je za przestarzałe i niezgodne z duchem demokratycznym Brytanii. Obecnie wchodzi w życie nowa ustawa przewidująca daleko idące zmiany, uprzystępniająca naukę w Public Schools szerokim masom młodzieży, na zasadzie stypendiów państwowych.

Jeśli chodzi o wyższe uczelnie, to tu przede wszystkim narzucają się nazwy dwóch sławnych uniwersytetów: Oxford i Cambridge. Większość ze znanych w historii Anglii postaci, to wychowankowie tych dwóch najstarszych uczelni. Podobnie jak w Public Schools — internatom odpowiadają uniwersyteckie College, w których skupia się życie młodzieży. Różni się ono zasadniczo od życia akademików na kontynencie tym, że studenci nie tylko uczą się pod nadzorem specjalnych profesorów-opiekunów, lecz również poza nauką w College'u panuje dość surowa dyscyplina i kontrola.

Niegdyś w Anglii nazwa uniwersytet oznaczała tylko zgrupowanie różnych College'ów, lecz z biegiem czasu rozrost wiedzy i idąca z tym potrzeba tworzenia odpowiednich pracowni, klinik, laboratoriów itp. przyczyniła się do ich połączenia w jedną uczelnię. Obecnie College stanowią materialną podporę uniwersytetu, żyją jednak odrębnym organizacyjnie życiem, a często nawet profesorowie i opiekunowie w College'ach tworzą zespół odrębny od wykładowców uniwersytetu. Spośród nich jednak jest wyróżniony rektor, który w Anglii nosi tytuł wicekanclerza uniwersytetu.

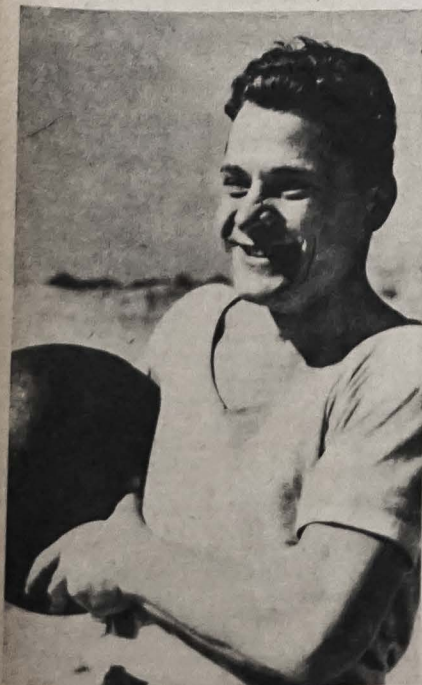
Życie w College'ach wyrasta z tych samych tradycji, które panują w szkołach publicznych. Kładzie się tam nacisk nie tylko na same studia naukowe, lecz również na wychowanie i kształcenie charakteru. Zmysł społeczny wyrabia zbiorowość, praca w różnych organizacjach i stowarzyszeniach studenckich, nad wychowaniem czuwają doświadczeni pedagogowie. I tu nie bez znaczenia jest sprawność fizyczna osiągnięta w sporcie.

Wszystkie te cechy, rozwijane w okresie życia, w którym umysł jest najbardziej chłonny, a charakter daje się jeszcze odpowiednio formować, sprawiają, że studia na uniwersytetach angielskich dają młodzieży dobre przygotowanie do samodzielnego życia.

POWRACAJĄ DO ZDROWIA



Wracają im siły, powraca i zdrowie — rannym i chorym żołnierzom 2 Korpusu — w tym m. p., które nosi przyjemną nazwę dom uodrowienia. Tuż, o kilka kroków, jest morze, plaża i stacja, jest dużo wypoczynku i przyjemnej lekkości powietrza, a poza tym są jeszcze bardzo groźnie wyglądające maszyny, które amiotują pod kierunkiem lekarzy używane, przynależą do rekonwalescencji dawnej siły, sprawności i zdrowia. Rowery ortopedyczne, czy wioślarstwo w miejscu, na słonecznej plaży, usprawniają światłość długiego choroby niegdyś. Nie więc datowanego, że to nadmorska m. p. cieszę się powodzeniem, a najlepszą jego reklamą są opalone, mocne postacie powracających do oddziałów żołnierzy.



KATOLICY AMERYKANSKY — 2 KORPUSOWI

W Rzymie odbyło się poświęcenie sześciu samochodów-kantyn, ofiarowanych przez War Relief Services - National Catholic Welfare Conference, a mających służyć żołnierzom 2 Korpusu. Poświęcenia dokonał J. E. Ks. Nuncjusz Cortesi w obecności J. E. Biskupa Polowego Gallowaya, przedstawicieli 2 Korpusu oraz p. Myrona Taylora, osobistego przedstawiciela prezydenta Roosevelta i p. Aleksandra Kirka, ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ruchome kantyny, przekazane Korpusowi zostały ufundowane staraniem Służby Pomocy Katolickiej Polsce, oddział NCWC. Kantyny skonstruowano w Detroit i wyposażono w nowoczesne urządzenia, pozwalające na pracę w terenie, w warunkach przyfrontowych. Na dachu każdej kantyny jest 50-galonowy zbiornik, dostarczający wody bieżącej. Wewnątrz wozu mieści się piecyk naftowy, kotły na kawę i herbatę. Ściany boczne samochodów otwierają się łatwo z obu stron, co umożliwia sprawne wydawanie napojów i posiłków. Sześć tych ruchomych kantyn, to nowy, jeszcze je-

den dorobek polskiego oddziału amerykańskiej organizacji pomocy wojennej. Na Środkowym Wschodzie, w Helipolisie, Służba Pomocy Katolickiej Polsce w swym domu wypoczynkowym dla ochotników urządziła podwieczorek dla Anglików i Południowo-Afrykańczyków, którzy jako jeńcy przebywali w Polsce, w niemieckich obozach, a teraz wolni powracali do domu. Większość tych kilkuset ludzi zawdzięcza swe życie i wolność ludności polskiej, która na każdym kroku okazała się nie tylko sprzymierzeńcem, ale i przyjacielem. Polacy, sami prześladowani i głodzeni, uwalniali jeńców brytyjskich, karmili, odziewali i przechowywali, za co także — płacili Placili swym życiem. Wszyscy oni, ci uwolnieni z niewoli, z największym uznaniem i entuzjazmem wyrażają się o narodzie polskim — "ych „wonderfull people". Gościńność gospodyń tego podwieczorku, w którym udział wzięli także liczni przedstawiciele armii polskiej, spotkała się z serdecznością przybyłych z Kraju sojuszników.



Kantyny ofiarowane 2 Korpusowi



Podwieczorek w Helipolisie



Ognisko londyńskie



Marszałek lotnictwa Sir Arthur Longmore odwiedza nierz Ognisko Polskie



Ognisko polskie w Londynie

Nauka języka angielskiego

Przy kominku



W dużym domu przy ulicy Belgrave w Londynie mieści się Ognisko Polskie, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla żołnierzy naszych przebywających na terenie W. Brytanii, a także skupiające życie towarzyskie i kulturalne wszystkich Polaków, zarówno stałych mieszkańców Londynu jak i przyjezdnych. Ognisko zostało założone przez British Council. W miłych, komfortowo urządzonych salach Ogniska, Polacy mają idealną atmosferę dla odpoczynku, toteż dla wielu z nich Ognisko stało się drugim domem, w którym spędzają wolne od pracy chwile. W klubie, który liczy ponad tysiąc członków, są czytelnie, świetlice, sala odczytowa i bridżowa. W Ognisku odbywają się lekcje języka angielskiego oraz wszelkie imprezy kulturalne i artystyczne, odczyty, koncerty itp.

Str. 3, 4 i 5: fot. U. S. Office of War Information, British Ministry of Information
Str. 5: fot. inż. W. Ostrowski, Chrusciel, Hrynkiowicz
Str. 6 i 7: fot. T. Szumański
Str. 8 i 9: fot. S. C. A.
Str. 10: fot. J. Śliwiński, British Ministry of Information, Chrusciel
Str. 11: fot. Michalski
Str. 14 i 15: fot. British Ministry of Information
Str. 16 — „Dobrzy znajomi” — fot. T. Szumański

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

maki australijskie

W czasie obecnej wojny, gdy szpitalne przepelnione są ranymi, zapotrzebowanie na morfinę wzrosło wielokrotnie. W Australii, dokąd jeszcze do niedawna morfinę sprowadzano wyłącznie z zagranicy, obecnie, kiedy dostawy z zagranicy nieumiejętnie postawiono zażycie własne plantacje. Dostarczone z Anglii nasiona maku i zasadzone w Australii, przyjęły się nadspodziewanie dobrze. I dzisiaj już olbrzymie przestrzenie australijskich pól pokryte są pięknymi kwiatami maku, a nowo powstałe zakłady chemiczne, wytwarzające morfinę z maku, głównie dla wojskowych szpitali, pracują wydajnie dla wspólnego wysiłku wojennego narodów sprzymierzonych.

Makoszki i kwiat maku, z którego wydobywa się opium



Badanie gatunku maku

Początkowe stadium masowej produkcji morfiny



